



HANS CHRISTIAN ANDERSEN

Matka

HANS CHRISTIAN ANDERSEN

Matka

TLUM. CECYLIA NIEWIADOMSKA

Przy kolebce chorego dziecka siedziała matka bardzo niespokojna o swoje ukochane małenstwo. Ze smutkiem patrzyła na bladą twarzyczkę i zamknięte oczy dzieciny, z niepokojem śledziła jego ciężki oddech, to znów zwracała oczy łez pełne ku niebu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Był to ubogi staruszek otulony derką, jaką otulają konie, gdyż na świecie mróz był potężny, a wiatr ostry siekł po twarzy jakby nożem.

Dziecię zasnęło właśnie, a że staruszek drżał z zimna, więc poczciwa kobieta prędko zagrzała piwa, aby ubogi miał się czym rozgrzać choć trochę. Usiadł on obok kołyski dziecięcia i patrzył na nie długo i uważnie; matka usiadła także z drugiej strony i gładziła chudą, małą rączkę.

— Prawda, że ono wyzdrowieje? — rzekła. — Jak ci się zdaje? Przecież Bóg jest dobry, więc mi go nie zabierze?

Staruszek skinął głową jakoś dziwnie i nic nie odpowiedział. Po twarzy kobiety łzy spływały powoli, pochyliła głowę i zasnęła.

Przez trzy dni i trzy noce czuwała przy dziecku, a teraz zasnęła na jedną chwileczkę. Zbudziła się natychmiast przestraszona, drżąc z zimna.

— Co to jest? — zapytała, ogłędając się na wszystkie strony. Staruszek zniknął i dziecka nie było w kołysce: zabrał je z sobą.

Stary zegar w kącie odezwał się głuchym mruzeniem, ciężka waga osunęła się do samej ziemi i — bum! Upadła. Stary zegar stanął.

Biedna matka z krzykiem wybiegła z pokoju, wołając dziecka swego.

Ale nikogo nie było na ulicy, tylko śnieg biały, miękki.

Pod ścianą jednak siedziała kobieta w długiej, żałobnej sukni.

— Nie wołaj nadaremnie — rzekła cichym głosem. — Śmierć była w twoim domu. Widziałam, jak wychodziła stamtąd z małym dzieckiem: zabrała je. Biegnie ona prędeż od wiatru i burzy, a co raz weźmie, tego nie zwraca już nigdy.

— Powiedz mi tylko, którą drogą poszła — pytała nieszczęsna matka. — Powiedz tylko w którą stronę, a ja ją znajdę!

— Wiem, w którą stronę poszła — odparła czarno ubrana kobieta — mogę ci wskazać jej drogę, ale musisz mi przedtem zaśpiewać wszystkie te śliczne piosenki, które śpiewałaś co dzień przy kolebce swego dziecięcia. Polubiłam je bardzo; jestem ciemną nocą i przychodziłam tu co wieczór słuchać twojego śpiewu; słuchałam do rana i patrzyłam na łzy twoje, gdy śpiewałaś.

— Zaśpiewam ci je wszystkie, wszystkie co do jednej, lecz teraz nie zatrzymuj mnie, o nocy ciemna! Pozwól mi śpieszyć, pozwól biec za dzieckiem.

Lecz noc siedziała cicha i milcząca.

Wtedy biedna matka załamała ręce i zaczęła śpiewać, płacząc. Płynęły śliczne pieśni, ale łez płynęło więcej. W końcu noc rzekła:

— Idźże teraz na prawo, aż do jodłowego lasu. Tam zniknęła śmierć z twą dzieciną.

Kobieta pobiegła. Las był ciemny, ale ścieżkę widzieć było można, więc śpieszyła. W głębi lasu jednakże drogi się krzyżowały, rozchodziły w strony przeciwne i biedna nie wiedziała, którą obrać. Wtem spojrzała na krzak cierniowy, na którym, zamiast liści i kwiatów, wisiały sople zmarzniętego szronu.

— Czy nie widziałeś, w którą stronę poszła śmierć z moim dzieckiem? — zapytała matka.

— Widziałem — szepnął krzak — nie powiem ci jednak, dopóki mnie nie ogrzejesz na swej piersi. Przemarzę aż do rdzenia, w lód się zmienię za chwilę.

Nie namyślając się, biedna kobieta przycisnęła do piersi nagi krzak cierniowy. Ze zranionego ciała krople krwi spływać zaczęły, krople krwi ciepłej. Lecz z nagich gałązek wystrzeliły listeczki, potem pączki białe i krzak cierniowy zakwitł pośród zimy, tak gorącym było serce biednej matki.

Wtedy wskazał jej drogę, którą śmierć poszła z jej dzieckiem.

I biegła znowu, a biegła tak długo, aż niezmierne jezioro zagroziło jej drogę. Nie było na nim łodzi ani statku. Cienka powłoka lodu mostu zastąpić nie mogła, ale nie pozwalała przepłynąć na stronę przeciwną. Co tu począć? Matka dostać się tam musi; bo tam jej dziecię!

Upadła na ziemię i zaczęła pić wodę. Wypić jezioro całe? Czyż człowiek podola? Ale ona myślała, że cud stać się może.

— Nie, tego nie dokążesz — rzekło jej jezioro — starajmy się lepiej coś na to poradzić. Ja lubię bardzo perły, na dnie mam skarb cały, lecz twoje oczy są piękniejsze od wszystkich; takich czystych i jasnych pereł nikt nie widział. Oddaj mi je. Za to zaniosę cię do ogrodu śmierci; znajdziesz tam wszelkie kwiaty i rośliny, a każda z nich to życie człowieka.

— Czegoż bym nie oddała, aby ocalić dziecko — rzekła biedna kobieta. — Wypłacę oczy moje, byleś mnie zaniósł do straszego ogrodu śmierci.

I płakała tak bardzo, że jasne jej oczy wypłynęły i wpadły do wodnej otchłani; a wówczas fale podniosły ją lekko i płynęła, bujając się na nich łagodnie, aż do przeciwnego brzegu. Tu wznosił się gmach dziwny: niby zamek, niby ogród, pełen gór i przepaści.

Nieszczęśliwa matka widzieć go jednak nie mogła, gdyż zostawiła oczy na dnie głębokiego, zielonego jeziora.

— Gdzież mam teraz szukać śmierci, która zabrała mi dziecko? — zawołała głosem żalonym.

— Nie powróciła jeszcze — odparła jej stara siwa niewiasta, która czuwała tutaj nad kwitnącymi roślinami. — Ale skąd się tu wzięłaś, żyjąca istoto? Kto ci pokazał drogę, kto cię przywiódł?

— Bóg dobry mnie tu przywiódł. On jest miłosierny i ulitował się nad sercem matki. I ty się ulitujesz. Powiedz mi, gdzie dziecię moje?

— Tęgo nie wiem — odpowiedziała staruszka — nie znam go przecież, a ty nie masz oczu, więc jakże je poznać możesz? Wiele drzew i kwiatów tej nocy powiędło i śmierć nadleci wkrótce, aby je z tego ogrodu usunąć. Zapewne między nimi jest dziecię twoje. Wiesz przecie, że każdy człowiek ma drzewo swoje albo kwiatek drobny w ogrodzie śmierci; rośliny te z pozoru nie różnią się niczym od zwykłych roślin ziemskich, ale w każdej z nich bije serce. Może rozpoznasz bicie serca swego dziecka? Ale co mi dasz za to, jeżeli ci powiem, jak należy dalej postąpić?

— Nic nie mam — rzekła matka — ale gdybyś chciała, na koniec świata poszłabym za ciebie.

— Co mi po tym, moja droga? — Nie mam tam interesu. Oddaj mi lepiej swoje czarne włosy. Ja ci dam za to moje siwe, więc tak wiele nie stracisz.

— Tylko to? Ach, najchętniej! — I z radosnym pośpiechem oddała biedna matka swe czarne warkoczki, a w zamian otrzymała siwe włosy starej kobiety.

Następnie weszły razem do ogrodu śmierci, gdzie rosło mnóstwo krzewów różnorodnych, drzew, kwiatów polnych, wodnych, ogrodowych, silnych, wspaniałych, zdrowych i bladych, wędnących. Tu delikatne i wonne hiacynty pod szklanymi kloszami, tam czerwone piwonie; do łodyg lili wodnych czepiały się raki, wysmukłe palmy wysoko wznosiły pyszne korony, dalej dęby, sosny i słabiuchne mietliczki, tymianek drobny; goździki i ciernie, grzyby, mchy i paprocie, mnogość i różnorodność nieprzebrana.

A najlichsza trawka miała imię swoje, każda była życiem człowieka, w każdej biło serce, dopóki żył człowiek, do którego należała. Były tu wielkie drzewa w małych doniczkach, które rozsadzały siłą swych korzeni i były wątłe kwiatki w ziemi tłustej, mchem otulone, dzwonami szklanymi nakryte. Jedne rosły na lodzie, inne na spiekłej ziemi, inne czepiały się nagich skał.

Matka szła pochylona, przykładając ucho do najmniejszej roślinki, nasłuchując długo, z trwogą ogromną; wreszcie wśród milionów, milionów serc poznała uderzenia serca najdroższej swej dzieciny.

— To ono! — zawołała, osłaniając ręką drobny bławatek, który zwiesił główkę, pobladły i znużony.

— Nie dotykaj kwiatka! — rzekła staruszka — stań tylko przy nim i czekaj, aż śmierć powróci ze świata. Nadbiegnie lada chwila. Wtedy nie pozwól jej wyrwać roślinki z ziemi, ale zgroź, że powyrywasz wszystkie inne kwiaty. Tego się będzie bała, gdyż jest odpowiedzialna przed Panem Bogiem za ich życie i nie wolno jej zniszczyć żadnego, dopóki nie otrzyma na to pozwolenia.

Wtem przebiegł mroźny powiew po ogrodzie i niewidoma zgadła, że to śmierć powraca.

— Skąd się tu wzięłaś? — spytała zdziwiona. — Jak mogłaś znaleźć drogę i przybyć tak prędko, przędzej ode mnie?

— Jestem matką — odpowiedziała nieszczęśliwa.

Śmierć wyciągnęła do bławatka długą kościstą rękę, lecz matka osłoniła go obu dłońmi, starając się nie dotknąć żadnego listeczka. Wtedy śmierć dmuchnęła chłodem na jej ręce i opadły bezwładnie, jak dwie skorupki lodowe.

— Mnie nie zwyciężysz — rzekła.

— Bóg cię zwyciężyć może.

— Pełnię tylko Jego wolę. Jestem Bożym ogrodnikiem i pielęgnuję tutaj Jego kwiaty, dopóki każe; a potem przesadzam je stąd do piękniejszego, rajskiego ogrodu, w dalekim, nieznanym kraju. Nie mogę ci powiedzieć jednak, co się tam z nimi dzieje.

— Oddaj mi dziecko moje! — zawołała matka. — Oddaj mi je natychmiast! — I z jękiem upadła i płakała głośno, boleśnie.

Nagle podniosła się i pochwyliła dwa piękne kwiaty, które rosły blisko.

— Oddaj mi dziecko moje! — powtórzyła — bo wyrwę i poniszczę... te rośliny! Zniszczę wszystkie kwiaty twoje, jeżeli mnie doprowadzisz do rozpaczki!

— Nie dotykaj ich! — zawołała śmierć poważnie. — Tak nieszczęśliwa jesteś i tak cierpisz, a chcesz inne matki podobnie nieszczęśliwymi uczynić?

— Inne matki — szepnęła z przestachem kobieta i odsunęła się zaraz od kwiatów.

— Masz tutaj swoje oczy — mówiła śmierć dalej — wyjęłam je z jeziora, nie wiedząc, że należą do ciebie. Weź je. Piękniejsze są teraz, niż były; weź je i spojrzij w te studnię głęboką. Tam zobaczysz, coś chciała uczynić wbrew woli Bożej.

W głębokiej studni widać było obraz życia ludzkiego: jeden jasny i szczęśliwy, błogosławiony przez Boga i ludzi, pełen radości cichej; drugi pełen nędzy, bóleści i udręczenia.

— Którego z kwiatów jest ten jasny obraz? — pytała matka. — Którego ten straszny?

— Tego ci powiedzieć nie mogę. Wiedz jednak, że jeden z nich jest przyszłością twego dziecka.

Wtedy nieszczęsna matka załamała ręce.

— Który? — pytała. — O, powiedz mi, który! Ocal niewinne dziecię! Ja nie chcę, aby ono w życiu tak cierpiało! Zanieś je lepiej do rajku, do Boga. Zapomnij o łzach moich, ocal moje dziecię!

Śmierć patrzyła na nią.

— Więc czegoś chcesz? — szepnęła. — Czy mam ci oddać dziecię, czy zanieść je do kraju nieznanego, dalekiego?

Wtedy matka upadła na kolana i modliła się płacząc, z wzniesionymi ku niebu rękoma:

— Nie słuchaj mnie, o Boże! Ja nie wiem co dobre, ja nie wiem, czego pragnę. Niech się stanie wola Twoja!

I uleciała śmierć z duszą dziecięcia w kraj daleki, nieznanym...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/matka>

Tekst opracowany na podstawie: Hans Christian Andersen, *Baśnie*, tłum. Cecylia Niewiadomska, wyd. 7, Gebethner i Wolff, Kraków 1925

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: paul_irish@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0020-5

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.